

GŁOS z WIDOWNI

RECENZJA premiery „Hadriana z Gzysmów” Wacława Klemensa Klicpera, sztuki przygotowanej i wystawionej przez Teatr Ziemi Gdańskiej, wymaga pewnego wstępu. W tym wstępie znajdują się być może sprawy poruszone już niejednokrotnie na łamach naszej gazety, ale chyba za każdym razem dotyczyły one innej rzeczywistości tej placówki i poruszone były wycinkowo. Premiera „Hadriana z Gzysmów” daje okazję spojrzenia na te sprawy w nieco inny sposób.

Teatr Ziemi Gdańskiej jest zespołem działającym bez rzeczywistej bazy, a wykorzystującym w tym celu szczytki i piwnice spalonego teatru w Gdyni. Teatr Ziemi Gdańskiej nie jest jednak teatrem gdynskim, jest teatrem objazdowym. Ale warunki w jakich pracuje zespół wymagają żelaznego zdrowia i hartu ducha — stąd niemałe trudności w prowadzeniu rozsądnej polityki kadrowej. — Chętnych aktorów do fakcyjnej pracy znaleźć można niewiele. Innymi słowy — dopóki teatr ten nie będzie miał stałej bazy — nie można będzie wobec niego stosować normalnych kryteriów ocen.

Byłem na spektaklu ciekawie wystawionego Moliera w małej wiosce, położonej na skraju województwa wśród wzgórz i lasów. Sala widowiskowa (będąca jednocześnie sa-

lą kinową) „pękała w szwach”, przyjęcie aktorów było spontaniczne. I byłem na premierze „Hadriana z Gzysmów” w Gdyni, w gościnie wypożyczonej sali Teatru Muzycznego. Widownię stanowiła tutaj grupa recenzentów, działaczy kultury, rodziny aktorów oraz... młodzież kilku klas. W czasie spektaklu słyszeć było w rzędach zajmowanych

przez młodzież odgłosy odkorkowywanych butelek z lemoniadą, a kapsel rzucony z tylnych rzędów wyładował na oparciu mojego fotela. Pomijam fakt, że publiczność wiejska zademonstrowała dziesięć razy wyższą kulturę od publiczności miejskiej — to już inna sprawa. Ale wniosek pozostaje jeden — premiery Teatru Ziemi Gdańskiej powinny odbywać się kolejno w różnych miastach województwa, tak jak było to stosowane dawniej. Recenzenci i działacze mogą dojechać na miejsce. Dla rodzin również można zamówić autokar, ale wrażenie premiery będzie lepsze i dla aktorów i dla widzów.

Dla teatru niezmiernie ważne jest jednak granie również w Gdyni.

W związku z tym nasuwają się dalsze wnioski na jutro i na dziś. W przyszłości Teatr Ziemi Gdańskiej musi ulec całkowitej reorganizacji i stać się dramatycznym tea-

trem gdyniskim, podejmującym tradycję Iwo Galla. Reorganizacja ta będzie jednak możliwa wówczas, gdy zostanie oddany do użytku gmach teatru w Gdyni. Kiedy to nastąpi? Nie opierając się na deklaracjach różnych działaczy, ale biorąc pod uwagę realne możliwości, wydaje się, że na początku następnej pięćdziesiątki, powiedzmy w roku 1976. Jeżeli udałoby się zdziałać to przede wszystkim, chwała tym, którzy to postrafiają, ale z praktyki wiemy, że teatr to nie tylko mury, ale również wyposażenie i skomplikowane instalacje.

No dobrze. Za pięć lat będziemy więc mieć teatr z prawdziwego zdarzenia. A co przez pięć lat? Otóż moim zdaniem sztuki, które zostaną zaprezentowane w terenie i przy chylnej ocenie, powinny dopiero wówczas trafić do Gdyni, do Sopotu i Gdańska. Wspominany na początku Molier pasowałby nawet do rzędu imprez demonstrowanych w ramach „Sopockiego Lata”. Ostatecznie poziom niektórych „teatrów sensacji” występujących gościnnie w czasie sezonu jest znacznie niższy. Prezentacja natomiast Teatru Ziemi Gdańskiej na równi widzom Starej Kiszewy jak i sezonowym widzom z całej Polski oraz widzom trójmiasta pozbawi zespół kompleksu prowincjonalności i stworzy inne warunki przy angażowaniu aktorów. Jest tylko jedna zasada — planowanie utworów o autentycznej wartości i przygotowanie spektakli przez wytrawnych reżyserów, którzy

mogą zespołowi nie ulec zmanierowaniu.

No i wróćmy do „Hadriana z Gzysmów”, na którego omówienie nie zostało już wiele miejsca. W sztuce tej dostrzegam szlachetną intencję Teatru Ziemi Gdańskiej — prezentacji wybitnych utworów pisarzy z krajów demokracji ludowych. Oglądaliśmy już na tej scenie dramaturgię bułgarską, niemiecką i rosyjską, być może zobaczymy rumuńską. Wacław Klemens Klicper należy do ciekawszych przedstawicieli literatury czeskiej, chociaż da-

żajska, bo wygaszenie tempa próbowała ratować niesłusznie gestami aktorskimi zapożyczonymi z tańkielkiej farsy.

Z aktorów najlepszy był wspomniany już Stefan Iżyłowski. Obserwując jego ogromne możliwości sceniczne, niepokoję się tylko czy nie zmanieruje się, grając wobec widowni przypadkowej, której przychylna reakcja jakże często dotyczy nie rzeczywistej gry aktorskiej, ale tanich gier. Ta presja widowni daje o sobie znać w geście innych aktorów, którzy wyłamują się z ogólnego nastroju utworu. Wyrazistą postacią „pana na Czelakowie” stworzył Juliusz Przybylski, do którego mam wielki szacunek właśnie za to, że nie uległ presji widowni sceny objazdowej i zachował gest wyważony, demonstrujący dobre aktorstwo. W pozostałych rolach wystąpili: Maria Gerhard, Irmiona Babińska, Zbigniew Gawroński, Zbigniew Łobodziński, Andrzej Wrona, Kazimierz Rowiński, Jerzy Witkowski, Janusz Maliec i Maciej Michalski.

I. SIERECKI

Zamiast recenzji
z „HADRIANA”